



NIGDY WIĘCEJ

Ludwik Lewin

Z okazji dwudziestej piątej rocznicy masakry Tutsi w Rwandzie przechadzałem się po Internecie szukając informacji o postawie władz francuskich. A wypływało ich coraz więcej i okazywało się, że Paryż, bardzo wtedy zaangażowany w sprawy tego państwa Afryki Wschodniej, wiedział o szykującym się ludobójstwie i wspierał następnie morderców.

Szukałem pod hasłem nigdy więcej i trafiłem na polskie stowarzyszenie o tej nazwie, które jako cel swej działalności głosi przeciwdziałanie rasizmowi, neofaszyzmowi, ksenofobii i dyskryminacji. Czytając, artykuły i zawiadomienia na jej stronach, będące niekończącą się serią wyliczeń antyżydowskich obelg i rasistowskiej przemocy, trudno mi było odpędzić myśl, że działalność tych ludzi stoi w sprzeczności z nazwą organizacji, bo zamiast nigdy jest i wciąż, i więcej.

Nigdy więcej zawsze było wyrazem naiwnej utopii, ale to, co stało się w Rwandzie to nie tylko dementi zawartej w niej nadziei, ale również powtórka z tego jedynego w historii zdarzenia, jakim była eksterminacja Żydów. Co daje nadzieję na następne.

Sto dni eksterminacji Tutsi rozpoczęło się 6 kwietnia 1994 roku, po zestrzeleniu samolotu prezydenta Rwandy Juvénala Habyarimany. Ale była to niespodzianka jedynie dla czytelników gazet.

We wrześniu 1990 r. Kigali odwiedził papież Jan Paweł II. W mowie do młodzieży wygłoszonej na stadionie nazwał Rwandę „krajem tysiąca wzgórz i tysiąca problemów”. Kilka tygodni później oddziały Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego (francuski skrót FPR), organizacji Tutsi, z których ty-

siące znalazło się na wygnaniu w Ugandzie, zaatakowały stamtąd Rwandę.

Już wtedy ambasador Francji w Kigali ostrzegał Paryż przed zagrożeniem ludobójstwa Tutsi. Bezskutecznie. Ówczesny prezydent Mitterrand, jak i jego rząd nie widzieli powodów, by z przyczyny tego niebezpieczeństwa przerwać dostawy broni dla ówczesnego rządu rwandyjskiego, na którego czele stał prezydent Habyarimana. Więcej. Francja, przekonana, że zwycięstwo FPR zachwieje jej pozycją w tym regionie Afryki, czynnie wspomagała władze Hutu.

Mało kto pamięta, że rzezie roku 1994 nie były pierwszą masakrą Tutsi w Rwandzie. W grudniu 1963 r. zamordowano tam co najmniej 10 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci. Prasa donosiła o tym późno i skąpo. Szacowny dziennik „le Monde” dopiero w lutym zamieścił list Denisa-Gilles’a Vuillemina, nauczyciela francuskiego z ramienia UNESCO, który tłumaczył, że nie może dłużej pracować „w służbie rządu odpowiedzialnego za ludobójstwo. Nie mogę podzielać obojętności ogromnej większości przebywających tu Europejczyków, którą uważam za obiektywne współnictwo”. O to współnictwo oskarżał również misjonarzy katolickich, o których pisał, „prawie wszyscy troszczą się przede wszystkim o utrzymanie pozycji Kościoła, którego wpływy są ogromne”.

Dwa lata później ambasador belgijski zawiadomił swój rząd o tym, że tamtejsze radio wzywa do eksterminacji Tutsi. Już wcześniej pojawiło się „10 przykazań Hutu”, wzywające do nienawiści i zabijania Tutsi.

Jak zwykle wszystko było powiedziane, wszyscy, a w każdym razie politycy, wiedzieli, ale nie chcieli wiedzieć. Tak samo, jak wcześniej nikt nie przejmował się tym, co Hitler napisał w Mein Kampf albo nagraniami pismami Chomejniego. A przyszli wodzowie bez ogródek zapowiadali, co zrobią po dojściu do władzy.

Niby dlaczego kancelarie rządowe miałyby się przejmować przyszłym ludobójstwem, jeżeli nie przejmowały się, gdy było dokonywane.

W tydzień po rozpoczęciu mordów papież w orędziu do katolików rwandyjskich wzywał by nie poddawali się uczuciu nienawiści i zemsty i by odważnie weszli na ścieżkę przebaczenia i pojednania. Nie wspominając, że zabijali Hutu, a mordowano Tutsi.

Polscy misjonarze lepiej wiedzieli co się święci. Świadectw jest jednak niewiele, gdyż większość z nich, wraz z przyszłym arcybiskupem, uciekła na krótko przed rozpoczęciem masowych morderstw.

Kilka dni po śmierci Habyarimany, pod egidą ambasady francuskiej w Kigali powstał tymczasowy rząd Rwandy, który przewodził ludobójstwu.

Następnie Paryż zajmował bardzo ambiwalentne stanowisko zarówno na arenie ONZ, jak i w stosunkach z władzami Rwandy. Nie tylko Paryż.

Prudence Bushnell, wtedy amerykańska podsekretarz stanu do spraw Afryki, która w marcu odwiedziła Rwandę, przyznała później, że w Radzie Bezpieczeństwa ONZ,



nie miała prawa używać określenia „ludobójstwo”, gdyż zmuszałoby to Waszyngton do powzięcia decyzji, interwencji i ochrony mordowanych. Zamiast tego w nieskończoność debatowano między prawnikami a ekspertami rządowymi, podczas gdy Hutu masakrowali 450 Tutsi na godzinę” – z gorzczą wspominała dyplomatka.

Przez cały czas rola Francji była szczególnie mętna. „W celu ochrony zagrożonej ludności” zorganizowała operację „turkus” i w czerwcu francuscy żołnierze z bazy w Kongo weszli do Rwandy. Ta ochrona najpierw polegała na pomocy rwandyjskiej armii w położeniu końca masakrom. Francuzi nie zauważyli, że masakrowała (również) ta armia. Ponadto francuscy dowódcy, w imię lojalności wobec długoletnich przyjaciół, pragnęli pomagać im w zatrzymaniu ofensywy FPR.

Nie udowodniono, jak dotychczas, by Francuzi pomogli członkom ludobójczego rządu uciec z Rwandy. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie aresztowali ich, gdy ci znaleźli się w stworzonej przez interwenujących „bezpiecznej strefie humanitarnej (ZHS)”. A to pod pretekstem, że takie

działanie wymagałoby uchwały ONZ. Nie tylko nie aresztowali. Tych morderców, którzy chcieli uciekać zaopatrzyli w paszporty a tych co zostali na miejscu nie rozbroili.

Nie ma zgody co do liczby ofiar, ale szacuje się ją na 800 tysięcy do miliona. Mimo świadectw, dowodów, wyroków, eksterminacja Tutsi oceniana była przez wielu ekspertów, dziennikarzy i polityków, jako „walki międzyplemienne”. Niezależnie od osądu, sprawa w Europie nikomu nie spędza snu z powiek. Wspomina się o niej, raczej lakonicznie, przy okazji procesów, skazań lub uniewinnień morderców. Było trochę artykułów i filmów z okazji ćwierćwiecza ludobójstwa. We Francji po raz pierwszy głośno i wyczerpująco mówiono o niechlubnej roli Paryża, ale nie trwało to długo.

Po zdobyciu władzy przez FPR Paula Kagamego dochodziło do walk na sąsiednim terytorium Konga. W zeszłym roku ekipa amerykańskich naukowców opublikowała wyniki badań, wskazujące na to, że w ostatnim dwudziestoleciu, 5 milionów dzieci w wieku poniżej 5 lat straciło życie w wojnach afrykańskich.

Śmiertelne ofiary tych konfliktów liczy się w milionach, ale są to miliony o niewielkiej chyba wadze geopolitycznej, gdyż wspomina się o nich rzadko, lakonicznie, głównie między specjalistami.

Brak reakcji rządów sojusznicznych na szoa długo tłumaczono niewiedzą. Tłumaczenie nigdy nie wydawało się wiarygodne, ale odkrycia historyków, umożliwiające wciąż tylko częściowym udostępnieniem archiwów służb wywiadowczych, uświadamiają, że od rozstrzeliwań Einsatzgruppen i Ordnungspolizei w 1941 r., po ostatnie transporty do Oświęcimia w 1945, wszystko było monitorowane i...ignorowane.

Z różnych powodów. Ten najchętniej przytaczany to konieczność militarnego zwycięstwa nad nazizmem.

Pisał w grudniu 1942 wysoki urzędnik amerykańskiego Departamentu Stanu: „To, że liczba zabitych wynosi dziesiątki tysięcy, czy też, jak pretenduje raport, miliony, nie jest zasadniczym problemem. Naszym zasadniczym celem jest wygranie wojny i inne względy muszą mu być podporządkowane”.

W tym samym miesiącu, wbrew dyplomatom z Departamentu Stanu i Foreign Office, USA i Wielka Brytania oficjalnie uznały, że Niemcy prowadzą politykę eksterminacji narodu żydowskiego. I co? I nic. „Istnieje zasadnicza różnica między uznaniem stanu rzeczy a reagowaniem nań” – pisał amerykański historyk szoah, profesor Richard Breitman.

Inny był i ważniejszy powód oporu zachodnich aliantów przed przyznaniem, że szoa nie jest, jak w proteście przeciw nagłośnieniu eksterminacji, pisał inny amerykański dyplomata „przesadną pogłoską zainspirowaną obawami Żydów”. Antysemityzm. Antysemityzm dyplomatów i urzędników, ale przede wszystkim obawa rządzących, że społeczeństwa, dowiedziawszy się o losie Żydów, nie będą chciały walczyć i ginąć w wojnie, którą uznają za żydowską.

Obecnie, gdy coraz częściej oskarża się Żydów o prowadzenie „szoa biznes”, gdy w paryskiej manifestacji słychać „Żydzie, Francja nie jest twoja”, a nad Wisłą nie brak głosów, że Żydzi sami sobie zrobili holokaust, „nigdy więcej” brzmi jak szydercza drwina.